

Dwaj Macieje

Pleć, pleciugo! - Na wzgórza południowym grzeju
Siedział raz pewnego - Maciej przy Macieju.
Do pierwszego Macieja rzekł ten drugi Maciej:
"Coraz w niebie - wiosenniej, a w polu - pstrokaciej.
Lada parów potrafi, śniąc, Kwiatami zarósć!
A my - co? Do wieczności mizdrząca się starość?
Wstyd mi z siana, gdy słońce złotą igra zmrużką,
Z przedwczesną i zuchwałą pieszczoty pogróżką
Zerwać się do dziewczyny, jak gęś, co spod płotu
Zrywa się z wielkim krzykiem do niskiego lotu!...
Wstyd mi pysk - modrym oczom przysunąć do widna,
Bo te oczy - śmieszliwe, a dziewczka - bezwstydna!
Byle durniom zejść z drogi miałbym bezrozumnie?
Zamiast z dziewczką - na sianie, bez dziewczki spać w trumnie?
Dość mam śmierci co siłkiem po ziemi się szasta!
Nie chcę umrzeć - i kwita! Chcę potrwać - i basta!" -

Do drugiego Macieja pierwszy Maciej rzecze:
"Hamuj się, niecierpliwy na wiosnę człowiecze!
Ma łeb dzielny - wieczorem, kto go miewał - w zarań -
Tak, jak ja - com nie szczędził mym zadumom starań...
Wiem, co wiem! - W kniejach leśnych, w przepaściach paprotnych
Mieszka Czumur - wpośród czarów dzikich i samotnych -
I nic - tylko pilnuje zaklętego ziela,
Które nieśmiertelności - gdy je zjesz - udziela.
Nie dopuszcza nikogo - podstępny i silny,
A pięść ma tak skuteczną, jak ten gład mogliński!..."

Do pierwszego Macieja drugi Maciej prawi:
"Mam i ja - pięść, co z wrogiem niedługo się bawi...
Pódzwa z Czmurom się zmierzyć! Ty - w ślad, ja - na czele.
Przymarnimy go nieco - i odbierzem ziele.

<https://www.youtube.com/watch?v=zXHvu8Q4Fio>

I poszli - a szli w poprzek - i w przód i ukosem,
Już zawczasu się srożąc pod gołym niebiosem,
Jak mówią w tym powiecie, gdzie mimo zwyczaju
Niebo jest - Bóg wie czemu - męskiego rodzaju.
Po obałkach - po pniakach - po jarach - szli, skacząc
I Czmurowi zaocznie i trafnie sobacząc!

Słońce, przez żyłkowane przeświecając liście,
Na sękach się rozpryska - różnie i zdziebliście -
I światłem obszernie jąc, rozprasza się po to,
By na trawę ruchliwą nawiać - nic i złoto.

Gil na dęba wierzchołku tak odlegle śpiewa,

Że czuć w śpiewie wysokość szumiącego drzewa,
A w jarach, skąd się zieleń wynurza, jak z wora,
Po wczorajszej ulewie - woda, przez sen chora
Na błądy niedorozwój srebra w swej głębinie,
Mętem przeciw własnemu usrebrnieniu płynie.

Skoro Czumur dwóch Maciejów zaoczył z daleka -
Czarami się najeżył - i nieludzko czeka...
Idą. - Już się zbliżyli. - Czumur w słońcu się biesi -
Gębę do nich wykrzywia: "A wy tu - skądеси?" -
Rzekł Maciej: "Z niedaleczka... Chcemy jestku - pitku
Z tego ziela, coś w lesie skrył je bez użytku.
Znamy twą tajemnicę strasznie zieleniątą!
Wyłaż, tchórz, z czarów! Wyłaż!" - A Czumur na to:
"Precz stąd, śmiecie pyskate! Znam podniebia wasze!
Na baśń leśną dybiecie, jak bawół na paszę!
Czym dla was nieśmiertelność? Rodzajem - jarzyny!
Wara psiarni człowieczej od bytów przyczyny!" -
Trącił Maciej Macieja: "Lży, bestia nieczysta!
Pierwszy przemów do zmory, boś lepszy mówista..."
Sięgnął Maciej po słowo, co wszystkim gniew zmieści!
"Ty, psiaparo - psiawelno - psianogo - psiatreści!
Czemu ślepie wytrzeszczasz, mgliste od wyłudzi!
Małpo z tamtego świata! Pomroko z psiej budy!
Nie pyskuj wśród listowia! Stłum w lesie - bezczelność!
Nie skąp ziela, Judaszu! Oddaj nieśmiertelność!" -

I to mówiąc, podźwignął pięść na kształt maczugi,
A tuż obok do boju zawrzał Maciej drugi.
Czumur z ziemi wyrwał buczek, pełen jeszcze cienia,
I łby obu Maciejom zmacał od niechcenia.
Coś z lekka we łbach trzasło, lecz nic się nie stało.
Snadź łbów było - za dużo, a buczka - za mało.
Obaj do gęby Czumura rozmach wzięli szerszy -
Cios zadał Maciej drugi, a w ślad - Maciej pierwszy.
Czumur rozwarł pysk drapieżny zwyczajem potwora,
Aż odsłonił krtań krwistą - kły - i zwój jęczora.

Splunął Maciej, jęczora zgorszony straszylłem,
I gębę w czas potłumił pięścią, jak gasidłem.
Jęknął Czumur w nieskończoność, truchlejąc haniebnie
Przed nawałą Maciejów zbyt groźną liczebnie!
Cztery pięści go tłukły, nie wiadomo - która!
Coraz to inny Maciej nacierał na Czumura!
A czynili ciał dwojgiem taki zgiełk i ścistek,
Że zlekły brakiem miejsca - las dygotał wszystek!
Próżno Czumur się do nieba zrywał, jak zawieja -
Gdziekolwiek się obrócił - tam spotkał Macieja!
Przed nadmiarem Maciejów gdzie szukać obrony?
Tu - Maciej i tam - Maciej! Maciej - z każdej strony.

Ten go chwyta za grdykę, a tamten - za łystę.
Czmur nagli do ucieczki swe nogi bieżyste.
Już szkarłatną rządz bytu wyplunął na jary -
I zmalął - i sprzyziemniał, jak właśnie kret szary.
Lecz - gdy w oczach mu leśna pomętniała knieja,
A Macieja odróżnić nie mógł od Macieja -
Zaklął siebie słów mglistym - i tak zaczął znikać,
By ciałem do niebytu, znikając, nawykać...
Trudno stwierdzić, czy umarł, czy wpełził na kształt gadu
W nicość, pełną kryjówek... Dość, że znikł bez śladu.
Znikł do cna i do ista, jakby go nie było -
Tylko w słońcu zapachło - miętą i mogiłą...
Ptak zaćwierkał z gałęzi na zniknione ciało,
I coś w lesie raz jeszcze, niechcąc, poleśniało...

Rzekł Maciej do Macieja: "Umknął, zmór podrzutek!
A my ziela szukajmy! Czas nagli i smutek!"
Jęli szukać w parowie - łapczywie i żwawo.
Poszperali - na lewo, znaleźli - na prawo.
Miało barwy znikliwej posenną przynętę,
A poznali je po tym, że było - zakłęte.
Daremnie próbowali gryźć ziele i łykać -
Nie chciały im się szczęki zmiażdżone domykać...
Czmur za życia posiadał jakie takie siły,
Bo cielska Maciejowe od ran się roiły.

Do pierwszego Macieja rzecze Maciej wtóry:
"Tak się kości gną we mnie, jak te obce wióry.
W tym, że Czmur nas nadpsował - nie ma jeszcze sromu.
Czas duszom - do pokuty... Czas ciałom - do domu...
Lubię księżyc - na strychu, a słońce - w altanie,
Ale lubię najbardziej - siebie wzdłuż na sianie!...
Ty poleżysz ustronnie - i ja też poleżę.
Odzyskamy sił krztynę, szeptaając pacierze,
Grzeszną duszę do Boga nastroim, jak skrzypkę,
A ziele spożyjemy z mlekiem na przechlipkę."

I tak gwarząc, szli do dom - tam, gdzie dal i droga,
I na skřęcie spotkali twarz w twarz - Płaczyboga.
Miał Płaczybóg źrenice - dalami posnute,
A w źrenicach na przemian - zadumę i smutę.
Trącił Maciej Macieja: "Chwila uroczysta!
Pierwszy przemów do Boga, boś lepszy mówista." -
Rzekł Maciej: "Płaczyboże, co płaczesz uboczem -
Chcę ci mówić o wszystkim, ino nie wiem - o czym!
Pochwalona ta z tobą znajomość bezkresna.
W lesie - nasze spotkanie. Dziej się - wola leśna!
To powiadam po pierwsze. - A mówię po wtóre:
Dziej się człowiek, idący w bezmiary niektóre!
Nie zbraknie Bogu strawy (to mówię - po trzecie!) -
Dopóki jeden Maciej trwa jeszcze na świecie!"

I z zanadru, jak z hojnej wyciągnął skarbony
Ziele - i Płaczybogu podał zamysłony.

"Weź to ziele na wszelki w niebiosach przypadek,
Jako po dwóch Maciejach niepodzielny spadek.
Wiem, że cierpisz niekiedy - i ja czasem cierpię.
A nuż się nieśmiertelność w niebiosach wyczerpie!
Chociaż trwoga to - płonna, lecz myśl niebezwiędna:
Pewniejsze dwie wieczności, niżli wieczność - jedna.
Dość Ci, Boże, żdźbło małe tego ziela spożyć,
By do drugiej wieczności bez uszczerbku dożyć.
Kto zasłużył na ziele - niech się nim odświeży.
Bogu się nieśmiertelność - nam się Bóg należy,
Włącz ten dar, Płaczyboże, do Twych w niebie dziejów
I od czasu do czasu wspomnij dwóch Maciejów!" -

Wziął Płaczybóg podarek z tym bożym uśmiechem,
Co sprawił, że las z większym zieleniał pośpiechem,
I rzekł: "Dar to - nie lada, i skarb - nie drobnota -
I pewne przedłużenie wiecznego żywota!
Czymże was wynagrodzę - jaką z nieba chwałą
Za to, co się w tej chwili we wszechświecie stało!
Nic nigdzie nie posiadam, sam jestem - samiustek
Wpółśród ziemskiej niedoli i zaziemskich pustek.
Trzeba w płacz mój na ślepo, z całych sił uwierzyć,
By chcieć ze mną żyć razem albo i razem - nie żyć.
Na krańcach mego płaczu będę na was czekał.
Nie zwlekajcie zbyt długo. Ja - nie będę zwlekał..."

I odszedł w sen za snami, by z tym zieleciem w dłoni
Zniknąć w jednej i w drugiej niebiosów ustroni.

Rzekł Maciej do Macieja: "Z ran moich niemało
Podczas rozmowy z Bogiem krwi się w świat przelało."
I na nogach się zachwiał i bardzo niezgrabny
Na trawę się wywrócił bokiem, jak wóz drabny.
Drugi Maciej na ból swój boczył się i srożył,
Lecz - by ciała dogodzić - obok się ułożył.
Rzekł jeden: "Czemuś taki srebrniasty na licu,
Jakbyś gębę przed chwilą wytarzał w księżycu?"
Drugi na to: "Już do snu nicość mnie kołycha.
Wiem, co we mnie cierpiało - nie wiem, co nacicha...
"Brak mi ziela... Ha, trudno! niech Bóg się posili -
Bardzo by się przydało i nam w takiej chwili".
Naówczas do Macieja rzekł Maciej: "Macieju!
Tak mi dobrze w moim bólu jak w samym Betleju...
Pragnę tylko ostatnich ku niebu przesileń,
By zrzucić ciała mego uciążliwą wyleń -
A zrzucając - nie jęknę ani się zasmucę.
Odwróć łeb byś nie widział, czym będę, gdy zrzucę..."

Chciał się właśnie odwrócić Maciej od Macieja,
Ale go zamroczyła wielka beznadzieja!
A już śmierć się zbliżyła, by ich snem utrudzić.
Nie wiedziała, którego ma najpierw wystudzić.
Świat im w oczach zanikał... Nastaly złe dreszcze.
I już świata nie było, a trwali gdzieś jeszcze...
Rzekł jeden: "Noc nadchodzi!" - a drugi rzekł: "Dnieje!" -
Tak zmarli jednocześnie obydwaj Macieje.

*

Fragmenty tekstu Piotra Łopuszańskiego "Fischer Pierwszy i Ostatni" na 70-lecie śmierci Franca Fischera, Polityka, 5 kwietnia 2007

9 kwietnia 1937 r. zmarł Franc Fischer, polski Falstaff, Sokrates i Zagłoba w jednej osobie, największy oryginał okresu międzywojennego. Umarł, gdy nad Polskę nadciągały chmury, które dwa lata później przerodziły się w wojenną nawałnicę. W kraju powstał Ozon (Obóz Zjednoczenia Narodowego), głoszący konieczność skupienia się narodu wokół armii i osoby Marszałka Rydza-Śmigłego. Na uniwersytecie bojówki ONR-owców i nacjonalistów żydowskich prowadziły regularne wojny. Trwała nagonka na Tuwima za jego wiersz "Do generałów".

Fischer znał najwybitniejszych pisarzy Młodej Polski: Żeromskiego, Reymonta, Or-Ota, Lorentowicza, redaktora "Chimery" Miriama. Przyjaźnił się z poetą Bolesławem Leśmianem. Poznali się pod koniec lat 90. XIX stulecia. Ich przyjaźń przetrwała blisko 40 lat, do śmierci Franca. Dzieliło ich niemal wszystko: pochodzenie (Fischer z rodziny ziemiańskiej, Leśmian ze spolonizowanej rodziny żydowskiej - jego pradziadek założył pierwszą w Polsce Szkołę Rabinów), wiek (Fischer był starszy od poety o 17 lat), a nade wszystko wzrost. Już sam widok obu przyjaciół był zabawny: drobny i niski Leśmian (miał około 155 cm wzrostu) przy blisko dwumetrowym, potężnej postury Fischerze, sprawiał wrażenie karła. Co zatem ich do siebie zbliżyło i pozwoliło trwać tej przyjaźni przez dziesięciolecia?

Fischer ogromnie cenił błyskotliwą inteligencję młodszego Bolesława i jego wielki talent poetycki. Widział, że Bolesław na każdą sprawę ma oryginalne spojrzenie. Uwielbiał rozprawiać z Leśmianem o filozofii, literaturze, o życiu. Czasem dobrotliwie dworował sobie z "Bolcia", ale nikomu nie pozwalał o poecie powiedzieć złego słowa. Leśmian zaś zwierzał się przyjacielowi ze swych fantastycznych planów zdobycia fortuny albo przeprowadzenia egzotycznych podróży. Co pewien czas przynosił wiersz i czekał niespokojnie, jak go oceni Fischer. Jesienią 1936 roku zadedykował mu swój poemat "Dwaj Macieje" ogłoszony w "Napoju cienistym". Poeta napisał w dedykacji: *"Drogiemu przyjacielowi, Franciszkowi Fischerowi, z pełnym wzruszenia uznaniem dla smutnych i wesołych cudów Jego cygańskiego żywota i ze szczerym zachwytem dla Jego wiecznie młodych uniesień i pomysłów metafizycznych"*.

Leśmian wspominał o cygańskim życiu Fischera. To prawda. Hulanki, zabawy, podróże prędko uszczupliły domowy budżet Franciszka. Zaczął się wyprzedawać, ale nie zmienił trybu życia i nie podjął żadnej pracy. Gdy dobił 40 lat, z majątku nie zostało już nic. Wybrał los cygana: nigdy się nie ożenił, nie miał domu, stałego zameldowania, nie płacił podatków. W gronie przyjaciół spędzał sezon jesienno-zimowy w Warszawie, a na lato wyjeżdżał do dalekich krewnych mających dom w Łomżyńskim.